

Hinterer Brochkogel (3635 m) – Andrzej, to jeb...



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

12.07.2020

Na przełęczy zostawiam ekipę i idę samemu na pobliski Hinterer Brochkogel. Szczyt mało wybitny, ale jednak wśród [10-ciu najwyższych szczytów Austrii](#). Już raz mu odpuściłem [w 2017 roku](#), a byłem przecież wtedy w tym samym miejscu i z równie dobrym samopoczuciem, więc co jak co, ale trzeci raz tu wchodzić nie będę.

Asia, Aga i Michał zostają na przełęczy celebrować urodziny Agi. Wróćę do tego bo to istotne i ciekawe. Ja tymczasem poginam – zakopując się w śniegu – na skalne ramię odchodzące w kierunku szczytu. Mój zapał spada z każdym krokiem, wychodzi zmęczenie dnia, w końcu przetrawersowaliśmy drugi co do wysokości szczyt Austrii – [Wildspitze \(3768 m\)](#). I jeszcze na dodatek w najczystszy stylu, tzn. prosto z parkingu bez noclegu po drodze (no dobra, można było to zrobić czyściej – rowerem z Polski). Wyłazę ze śniegu na grań i na skałę wymęczony, ale pewny siebie. Przyznaję, że też nieco zaskoczony ekspozycją, ponieważ na lewo opadają pionowe zerwy do podnóża góry, na prawo zaś bardzo stromy stok kończący się na lodowcu. Ale dobra, przejdźmy do ciekawszych rzeczy.

Kawusiowa Szajka

Aga dostaje w prezencie zaparzaczkę do kawy kompatybilną z posiadanym przez nas Jet-Boilem. Więc nagle na lodowcu pojawia się wszystko, co do szczęścia potrzebne – Jet Boil, zaparzaczkę, cukier, no i najważniejsze – kawa! (tak, tak, męża w tym zestawie nie ma, ale nie ma co narzekać, przecie mąż o! tam! na grani skacze z kamienia na kamień! też szczęśliwy!).

Ciach śnieg do Jet-Boila, już się topi, już gotuje, już kawka pachnie, już praskę Aga dociska i ślinkę przełyka. Tylko nikt instrukcji nie przeczytał (całe jedno zdanie) i Aga do pokrętła sięga by płomień ugasić, lecz już za późno! Jet-Boil wybuchą, praska wylatuje w powietrze, kawa znaczy swym brązowym śladem dziewiczy, biały puch na wysokości 3470 m n.p.m. Aga poparzoną rękę zanurza w mokrym, zimnym śniegu.

Lodowiec! Idealne miejsce, by się poparzyć! Cóż za fart! W Jet-Boil jeszcze zostaje odrobina kawy, by każdy mógł spróbować. Jest pycha!

A Dziku wychodzi na wierzchołek.

Hinterer Brochkogel

Rozglądam się na wierzchołku i autentycznie klękam i składam ręce. Pierwszy raz chyba. Na śniegu nie ma ani jednego najdrobniejszego śladu czyjejś bytności. Staję w najwyższym punkcie i boję się pójść krok dalej. Zwykle jest to dużo łatwiejsze – wydeptane ślady, tu plamka z termosu, tam plamka z moczu, do tego okruchy, albo po prostu ludzie. A tym razem stoję na szczycie zupełnie sam i kopuła błyszczy się bez skazy, jak ołtarz. Czuję obecność Boga.

To be affronted by solitude without decadence, or a single material thing to prostitute it elevates you to a spiritual plane... where I felt the presence of God.

There's the God they taught me about at school... And there is the God that's hidden by what surrounds us in this civilisation. That's the God I met on the mountain.

Alive – 1993

Podczas, gdy schodzę do przyjaciół, widzę jak się krzątają na przełęczy, lecz po pewnym czasie znikają – domyślam się, że zaczęli schodzić. Schodzę na lodowiec i wszędzie, gdzie popatrzę jest tylko słońce, niebo, śnieg, lód i skała. Zapada absolutna cisza, jestem sam i w mojej głowie zalega się pewien pomysł: poważnie zaczynam myśleć o tym, co mam nadzieję zrealizować w nadchodzącym roku – spędzić samotnie w Alpach przynajmniej kilka dni.

Ale póki co jestem szczęśliwy, że tam gdzieś poniżej dojrzę sylwetki przyjaciół, dogonię ich i będziemy wspólnie świętować sukces. To był dla nas wyjątkowy dzień!

tekst: **Dziku**

Powrót ze strefy śmierci, czyli Wzgórza Strzelińskie



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

Prolog

Na tę WYPRAWĘ nie byłem przygotowany ani psychicznie ani fizycznie. W ostatniej chwili, z powodu silnego wiatru zrezygnowałem ze znanego mi terenu w Górach Złotych i udałem się w teren obcy i przez to mniej bezpieczny – Wzgórza Strzelińskie. Już przygotowania wieczorne dały przedsmak tego co mnie miało czekać. Zjedzone na kolację ostrygi (albo co innego to było, ale przypuszczalnie pochodziło z Morza Bałtyckiego) spowodowały w moim wnętrzu spustoszenie. Teraz już wiem, że owoce morza zjada się jak jabłka – zostawia się ogonki. Zjedzenie ich w całości to błąd, który spowodował, że z kibelka wyszedłem w znacznie gorszym stanie, niż po jakimkolwiek marszu. A może to po prostu stres? W każdym razie mój rozgorączkowany zezwłok znękany potami podniósł się o 6 rano z łóżka chyba tylko dzięki wsparciu członków rodziny, którzy wieczorem podtrzymywali mnie na duchu:

Mama – „Naleję Ci whisky”.

Aga – „Zrobisz rano 30km to rozchodzisz”.

Dzieci – „Tato, idź sobie w góry, ale nikogo ze sobą nie ciągnij”.

Epilog

Do 29km szło całkiem nieźle, potem jednak położyłem się pod drzewem i przykryłem liśćmi bezskutecznie rozglądając się za miejscem, gdzie mógłby wylądować helikopter. Ze strefy śmierci wyciągnęła mnie żona, która uśmiechnięta, idąc w jeansach i

niosąc mój plecak zachęciła mnie do dalszego marszu podkreślając, jak to się dobrze czuje. Prawdopodobnie mój stan spowodowany był niewłaściwym ułożeniem jelit, które od parunastu godzin nie mogły się rozplątać oraz tym, że to jednak ja torowałem szlak w najtrudniejszych miejscach, gdzie wiatr nagromadził zasy z liści sięgające kostek. Doczołgawszy się do auta i przez kolejne 40 minut utrzymując jedynie na wpół otwarte oczy i prowadząc pojazd dotarłem do Base Camp, w którym gospodaruje moja mama. Tam resztę wieczoru leżałem na łóżku nie mogąc się rozgrzać. Tak źle czułem się do tej pory jedynie w namiocie w Alpach zimą.

A na drugi dzień obudziłem się zdrow i pełen sił – czyli jednak podobnie, jak [rok temu](#) – i tym razem udało się jakieś dziadostwo rozchodzić.

PS. Dlaczego 32km? Wymyśliliśmy sobie nową tradycję, że każdego roku przynajmniej raz przejdziemy dystans równy naszemu wieku. Tydzień temu [zrobiłem swoją 40-tkę](#) a dziś była kolej Agi i kazała mi tu dopisać, że to była jej inicjatywa i dodatkowy wysiłek, żeby jeszcze mnie ze sobą wywlec. Brawo Aga!

40-tka i dlaczego warto dbać o jajka

Etap 1 – tam

O 6 rano dojeżdżam do Złotego Stoku. W trasie towarzyszyły mi gęste mgły, a klimatu dopełniał album Alternative 4 Anathemy (kawałek 8.Regret – ACH!). Wychodzę na szlak i pierwsze kilometry pokonuję w świetle czołówki. Potem się przejaśnia i

to właśnie wtedy jestem świadkiem najpiękniejszych zjawisk. Czasem biję się z myślami czy robić zdjęcia czy sobie odpuścić, ponieważ od początku marszu mam zmarzniete ręce. Wynika to z tego, że często sprawdzam na telefonie trasę – nie chcę się pomylić. I tak wiem, że coś dorobię w marszu, bo nie ma siły, żeby idąc przez 8h być w 100% skupionym na szlaku. Widoczki, jakie mi towarzyszyły były wspaniałym i wystarczającym urozmaicheniem samotnego marszu.



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

A cel był dla mnie życiowy – 40 km szybkiego marszu, do tego 1710 m przewyższenia w górę i tyle samo w dół. Zważywszy, że jeszcze stosunkowo niedawno kulałem po paru kilometrach to było się czym stresować. Dystans jednak łykałem w wymarzonym tempie, szło się równo i przyjemnie, więc ani się nie obejrzałem, jak zszedłem do Łądku Zdrój, czyli połowa trasy była za mną. Gdy przeszedłem na drugą stronę miasteczka zobaczyłem ławeczkę i stwierdziłem, że to dobre miejsce by sobie troszkę dłużej odpocząć (czytaj 10 minut) ponieważ jak do tej pory nie przystawałem ani na chwilę. I wtedy zobaczyłem T0.

Widzieliście kiedyś zarzygane ciuchy? Takie po imprezie, co to się żarło łychę sałatkę – bo jak zjesz to mniej wóda sieka – a potem się człowiek obudził rano i wmawiał sobie, że wcale pijany nie był tylko się czymś zatruł albo, że było o ten jeden kieliszek za dużo. W moim plecaku wyglądało, jakby kto tam takie ciuchy upchał. Jajka, jakie niosłem by zjeść z dziczyzną na szybki obiad w marszu były rozgniecione na miazgę i były wszędzie – kawałki znalazłem nawet w termosie. Jak przez 25 km miałem świetny humor tak teraz jakby się popsuł. Straciłem nieco animuszu, że tak delikatnie to ujmę i zabrałem się za sprzątanie. Tutaj muszę podziękować sponsorowi, czyli Sołtysowi Malerzowa, który prowadząc sklep zasponsorował mi na ten marsz 2 nowiutkie woreczki foliowe. Ich przeznaczenie miało być inne ale w tym momencie odratowały resztki mojego morale ponieważ to do nich schowałem puchówkę i inne oczyszczone z jajka rzeczy.

Etap 2 – z powrotem

Ze zwieszoną głową ruszyłem w dalszą drogę, czyli rozpoczynający się w tym miejscu etap powrotny. Mijając domostwa wrzucałem do kubłów na śmieci resztki po jajowych porządkach. Jak już myślałem, że mam to za sobą to zobaczyłem upieprzony kołnierz kurtki. Co ciekawe to nie puści to nawet po wypraniu w pralce (z praniem wstępnym!). O tym, jak duży wpływ na morale miała ta akcja z jajkiem niech zaświadczy to, że kiełbasę z dzika zawiozłem z powrotem do domu. Wszystko dlatego, że sama myśl, że mam do plecaka wkładać rękę powodowała, że przez resztę trasy traciłem chęć do jedzenia. Być może dlatego, a być może nie – w okolicy 33-go kilometra złapał mnie kryzys. Taki dziwny, bo nic mi niby nie dolegało ale jednak czułem się źle. I ten kryzys jak się pojawił tak szybko zniknął, w efekcie czego do 40-go kilometra czuję się tak świetnie, jak czułem się na początku trasy.

40 kilometrów przechodzę w mniej jak 8h, z czego jestem bardzo usatysfakcjonowany. Równie po minięciu 40-go kilometra siada mi kolano, więc ostatnie 2 km kuleję do auta. Nie jest to jednak żaden problem, bo satysfakcja jest ogromna.

Choć plan przejścia tego dystansu pojawił się zaledwie tydzień temu to był on dla mnie niezwykle ważny i myślę, że będzie on miał wpływ na moje dalsze plany.

Przejście miało miejsce 19 grudnia 2020 roku.

Finalny wynik to 42,38km w 08:23:42

Co jest potrzebne na taki marsz?

Pakowanie na taką akcję trwa kilka minut, a to co należy zabrać to:

Na sobie:

1. czapka
2. rękawiczki polarkowe
3. koszulka termoaktywna z merino
4. polar

5. spodnie (materiałowe lekkie)
6. adidas
7. majtki
8. skarpetki

Przy sobie:

1. chusteczki higieniczne
2. kanapki
3. herbata
4. woda
5. mleczko w tubce
6. kiełbasa z dzika
7. nawigacja (telefon)
8. kurtka przeciwwiatrowa (użyłem sporadycznie, obeszło się)
9. kurtka puchowa (nie użyłem, ale była na wypadek kontuzji, spadku mocy)
10. czołówka

Unikać:

1. jajka

(Und keine Eier... przypomina mi się kawałek Tool – Die Eier von Satan)

Glödis (3206) – nie rozczarował!

Tekst: Dzik

Zdjęcia: Tomek i Dzik

Wyjazd miał miejsce w dniach 18-19 IX 2020



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.

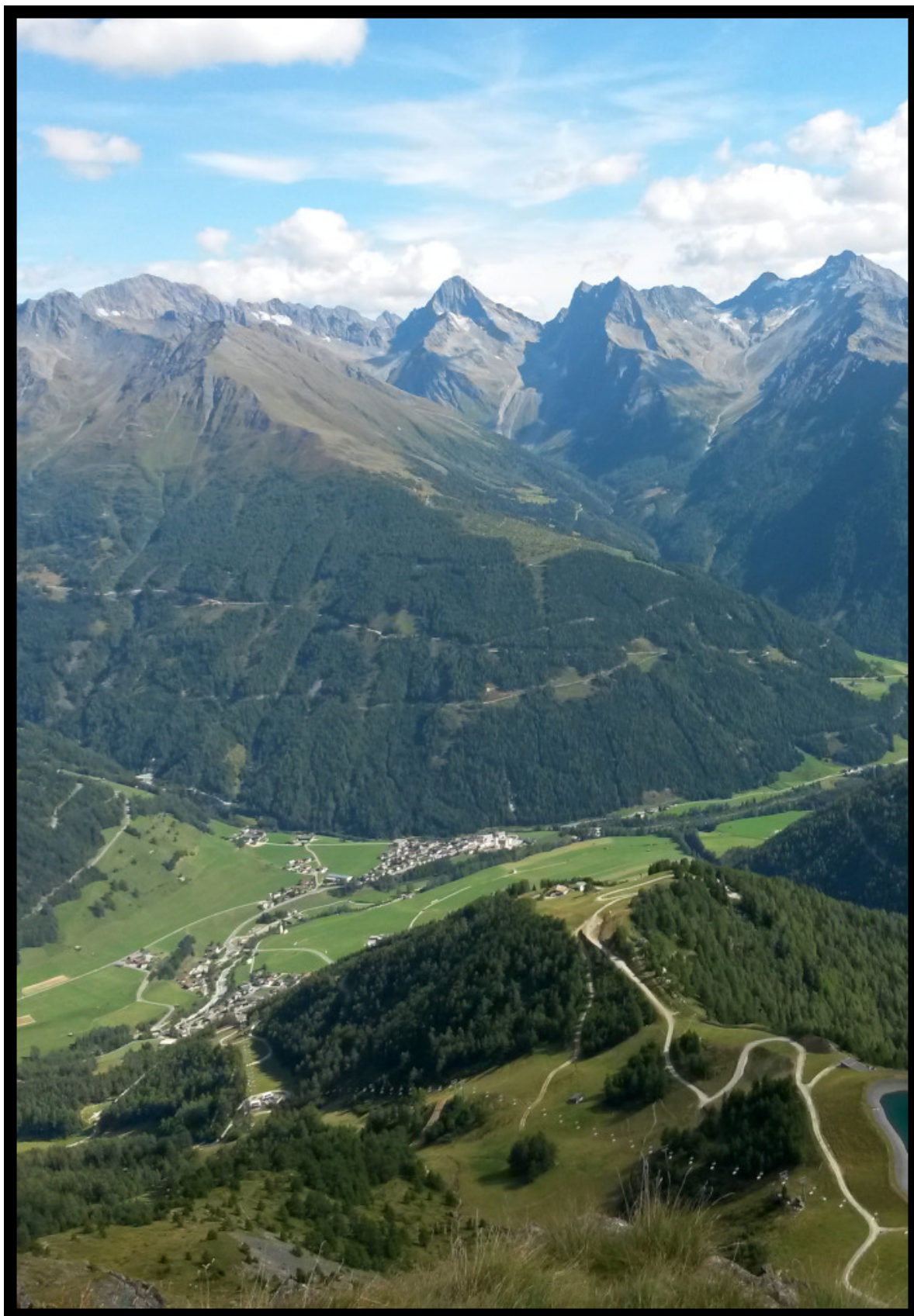


„Remove cup before... BUM!”

Wrzesień 2016

Szczyt ten po raz pierwszy rzucił mi się w oczy podczas [wizyty w Kals w 2016 roku](#), kiedy to z daleka, ze szczytu Blauspitz

wyglądał niezwykle intrygująco. Szczególnie zapamiętałem jego odbijającą światło północno-zachodnią ścianę:



W centrum Glödis – widziany z Blauspitz

Podczas tamtej wycieczki mieliśmy się okazję mu przyjrzeć
potem z bliska zarówno z Lesachtal...:



Tak się prezentuje z Lesachtal

...jak i z drugiej strony, czyli z doliny Debanttal. Tam
prezentuje się nieco inaczej, raczej jak masywny monolit, ale
również imponująco:



Spojrzenie z południa, czyli z Debanttal

Zatem góra ta przemówiła do nas wielokrotnie i wystarczająco jasno:

„Ej! Wy dwoje! Musicie mnie jeszcze odwiedzić!”.

Czerwiec 2019

I faktycznie, 1-go czerwca 2019 roku przyjechaliśmy z Tomkiem i Agą do Lesach, gdzie na Glödis znów się napatrzyliśmy i to w zimowej odsłonie, ale na próbę wejścia na szczyt nie zdecydowaliśmy się. Dlaczego? Było to zaraz po zejściu lawin z nagromadzonego przez zimę i wiosnę śniegu. Z każdego żlebu wyjechały jęzory i nikt nam nie dawał gwarancji, że coś jeszcze nie polecie. Na poniższych zdjęciach widać o co chodzi:



Z lewej za Tomkiem Glödis
(3206) widziany z
Tschadinhorn (3017)



Czerwcowy szlak na przełęcz
i „nasza” grań w całej
okazałości

Wrzesień 2020

Przybywamy do Austrii w tym samym składzie co rok wcześniej: Dziku, Aga i Tomek, a celem naszym ponownie jest południowo-zachodnia grań. Pierwszego dnia zakładamy obóz w Lesachalm na wysokości 2000 metrów, po czym ja wyskakuję na szybki spacer na okoliczny 3-tysięcznik, a Aga i Tomek podejmują się szlachetnej misji oczyszczenia szlaku na Glödis. Oczyszczenia z... kuszących, słodkich, dorodnych jagód!

Drugiego dnia startujemy na szczyt koło godziny...

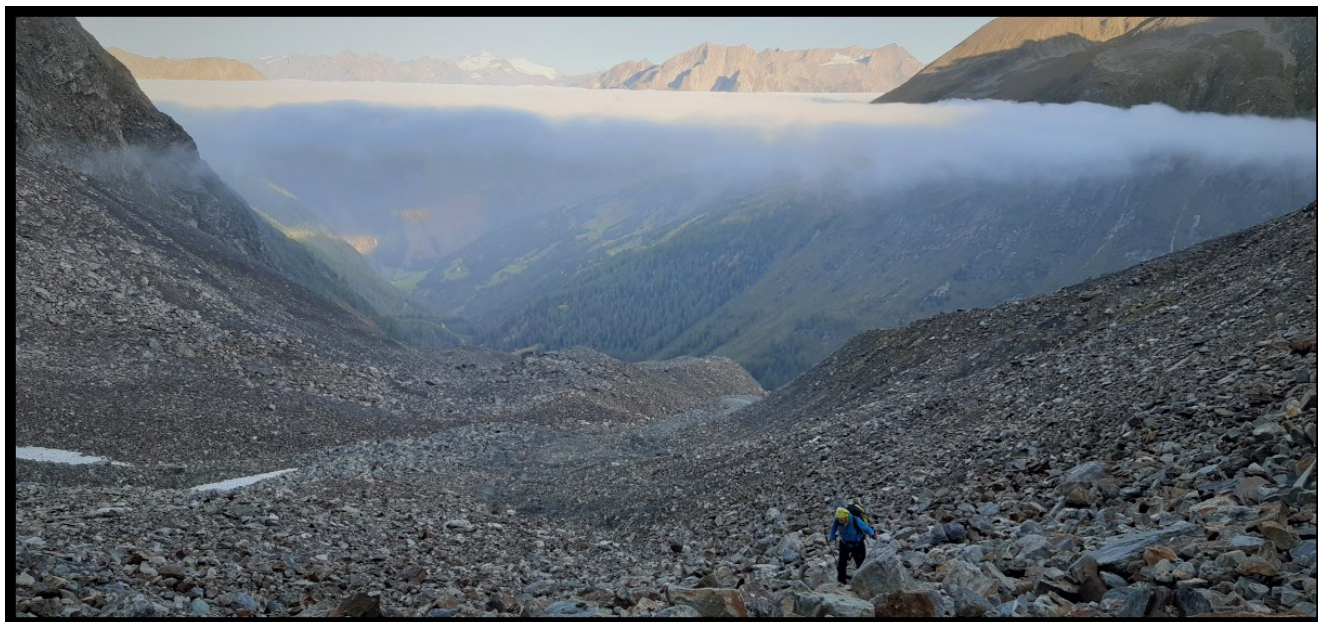
Po gruzie

...6:30. Początkowo zdobywamy wysokość idąc przyjemną ścieżką po stromym zboczu. Następnie wchodzimy na gruz, na masę gruzu, przeraźliwą, ruchomą, niewygodną i męczącą psychicznie i fizycznie kupę kamieni. Idziemy w kierunku przełęczy Kalser Törl nic nie mówiąc, lecz wiadomym jest, że każdy cierpi wewnętrznie, dlatego pod samą przełęczą wybuchamy niemal jednocześnie:

Aga: „Tyle lat po Alpach chodzę, ale po czymś tak obrzydliwym jeszcze nigdy nie szłam”.

Tomek: „To jest nawet gorsze niż przejście lodowca Miage”.

Dziku: „Po tym to nawet [Ramolkogel](#) będzie się wydawał piękny”.



Najgorsze podejście z możliwych – każdy kamień tańczy

Pokonując wielkie pole kruszyny o 9:30 stajemy na przełęczy na wysokości 2806 m. Teraz zaczyna się wspinaczka po...

Grań

...grani – w odróżnieniu od podejścia na przełęcz całkiem przyjaznej. Choć Tomek, gdy zobaczył w co się pakujemy miał ochotę zawołać „Hej! Ja wracam!” to jednak szybko się przyzwyczaił do ekspozycji i pokonywanych trudności. Gdy Aga zobaczyła w co się pakujemy dostała skrzydeł i chciała lecieć z radości po grani. Idziemy równo, lecz w stylu mieszanym – raz bez liny, raz na lotnej, raz na sztywno.



Na grani

Na jeden konkretny styl decydujemy się dopiero w połowie drogi, kiedy góra „wciąga” nam w szczelinę frienda. Pomimo, że możemy go dotknąć, to nie jesteśmy w stanie go wyciągnąć, więc zostawiamy ofiarę i dalej postanawiamy iść bez asekuracji. Od tego momentu tempo jest wyśrubowane przez Agę, która znika

gdzieś z przodu i wspina się po skałach jakby ją co goniło. Po godzinie 12-tej Aga znajduje się już na charakterystycznym końcowym odcinku grani: szerokim, składającym się z wielkich bloków skalnych. Ja jestem gdzieś w strefie przejściowej, a Tomek na końcówce tej mniej nachylonej, ale mocno eksponowanej grani. I wtedy następuje...

Huk

...huk tak potężny, że nie do opisanie słowami. Aga twierdzi, że góra się zatrzęsała, mi przyszło na myśl, że któryś z okolicznych szczytów pękł na pół, Tomek nie wiem co pomyślał, ale jedno jest pewne: takie przeżycie trafia się co najwyżej raz w życiu.



CHRONIK

Eurofighter-Alarm über Osttirol

Weil ein Businessjet am Samstagmittag keine Funkverbindung zur zivilen Luftraumkontrolle hatte, ist ein Alarmstart der Eurofighter ausgelöst worden. Nach einer Kontaktaufnahme konnte jedoch Entwarnung gegeben werden.

19. September 2020, 14.42 Uhr

Teilen 

andesheer/Markus Zinner

Operacje naddźwiękowe są „same w sobie raczej rzadkie”. Są potrzebne tylko wtedy, gdy odległość jest tak duża, że kontakt [] jest możliwy do osiągnięcia tylko z naddźwiękiem – powiedział rzecznik armii. Zdarza się to jeden raz w roku.

Dźwięk rozchodzi się w powietrzu z prędkością 340 metrów na

sekundę. Jeśli samolot zbliża się do tej prędkości, na maszynie pojawiają się fale uderzeniowe. Są one odbierane na ziemi jako dźwiękowy efekt. Siła wybuchu zależy między innymi od wysokości, struktury terenu i warunków pogodowych. Szczególnie w dolinach górskich grzmot słychać stosunkowo daleko i głośno.

źródło: <https://tirol.orf.at/stories/3067651/>

Kiedy odgłos wybuchu odbijał się od okolicznych gór i stopniowo cichł zastąpił go jednostajny odległy szum silników samolotu. Na niebie dojrzałem też wtedy jedną maszynę zostawiającą za sobą typowy ślad. Czy był to jeden z samolotów biorących udział w akcji? Nie wiem, równie dobrze mógł to być jakikolwiek inny samolot, na którego wcześniej nie zwróciłem uwagi. Po chwili wszystko się uspokoiło, a my skupiliśmy się na naszej wspinaczce.

Szczyt

O 12:55 jesteśmy pod krzyżem na szczycie o wysokości 3206 m n.p.m. Tu spotykamy kilkoro turystów, którzy weszli ferratą z południowej strony góry.

Rzuca mi się w oczy nienaturalnie różowy, rozmiaru wielkości dłoni kamień, a na nim napisany tekst:

Allen, die durchhalten und den sieg erringen, gebe ich vom baum des lebens zu essen der im garten gottes steht.

Wszystkim, którzy wytrwają i osiągną zwycięstwo, daję pokarm z drzewa życia, które stoi w ogrodzie Boga.



My nasze małe zwycięstwo odnieśliśmy, choć do pełni szczęścia brakuje jeszcze bezpiecznego zejścia, dlatego już 10 minut

później podążamy wzdłuż ferraty na dół. W planie jest zejście szlakiem kilka kilometrów i około 500mH w dół, następnie podejście 300mH od południowej strony na przełęcz Kalser Törl, z której wychodziliśmy na grań i powrót po gruzie do miejsca startu. Następnie zejście do auta na wysokość 1300 m n.p.m. i powrót do Polski – *pestka!*



Za mną, ten najniższy punkt u wylotu doliny – jeszcze dziś musimy tam zejść

Ryzykowny trawers

Widzieliśmy z przełęczy, że po południowej stronie jest ten sam syf z nagromadzonych skał co po północnej. Do tego po przeliczeniu kilometrów, jakie musimy pokonać – robiło się słabo. Ale cóż – chcieliśmy, to mamy i trzeba to przyjąć na klatę, ale oto na wysokości 2850 nadchodzi zbawienie. Moją uwagę zwracają nietypowo ułożone kamienie jedno na drugich. Nie na tyle nienaturalnie, żeby mieć pewność, ale jednak dające nadzieję, że może coś ktoś próbował tym przekazać? Zostawiam plecak i robię zwiady, a im dalej się posuwam, tym nadzieje na bezpieczny trawers rosną, więc biegnę z dobrymi

wiadomościami do Agi i Tomka. Mimo kłócących się myśli i nie zawsze przyjemnych doświadczeń ze skrótami podejmujemy decyzję: ryzykujemy i skracamy drogę.

To był strzał w 10-tkę, ponieważ pokonując stosunkowo łatwy teren schodzimy zaledwie jakieś 100 metrów poniżej przełęczy. Tylko ostatni odcinek podejścia przemęczamy po kruszyźnie i w zaledwie 1h45' od szczytu jesteśmy znów na przełęczy!



Po zejściu ze szczytu i zbawiennym trawersie – z tego miejsca widać przełęcz

Zejście

Koło 17-tej wracamy do namiotu. Przed nami godzina zasłużonego odpoczynku, a potem zejście na parking. Wszystko zgrywa się na styk, bo ciemność otacza nas dosłownie 100 metrów od auta. To była intensywna i wspaniała przygoda – Glödis nie rozczarował.



Tomek na końcowym odcinku grani

Sposób na deszcz – część 2

To był jeden z tych weekendów w roku, kiedy miejsce i towarzystwo sprzyjają, by człowiek odciął się od wszelkich zmartwień. Jednak pomimo wszechogarniającego luzu nie potrafiłem odmówić sobie treningu, tym bardziej, że byliśmy w górach.

Marianówka, 26 września 2020: budzę się o 6:29. Spakowany, tylko w buty wskoczyć i można lecieć na Śnieżnik.

Po zaledwie 20 minutach marszu zaczyna padać deszcz i jest nieprzyjemnie zimno. Ale nie wieje (bo wiadomo, że najgorszy jest wiatr), więc pomimo paskudnej pogody prę dalej.

Po zaledwie 2h04' wchodzę do Schroniska pod Śnieżnikiem. Tu zamierzałem się ogrzać i podsuszyć, ale niestety o tej porze jeszcze nie palili w piecu. Skorzystałem więc z możliwości wypicia gorącej herbaty z cytryną (wcale nie było z tym łatwo, ale o tym poniżej). Koszulkę, którą już w podobnych warunkach miałem sprawdzoną [[link do tamtej relacji](#)] zdjąłem, wycisnąłem z niej wodę i pozostawiłem na krześle. Szybko ostygła i już nie zaryzykowałem założenia jej na siebie, bo mogłaby mnie wychłodzić zanim ja zdążyłbym ją ponownie ogrzać. W ten sposób pozbawiłem się solidnej pierwszej warstwy. Zostałem z cienką syntetyczną bluzą i kompletnie przemoczoną kurtką. Bufka z głowy podzieliła los koszulki i razem wylądowały w plecaczku.

Miejsce: Schronisko

Bohaterowie 1-go planu: Dzik jako jedyny klient schroniska i 2 pracowników kuchni.

Bohaterowie 2-planowi: brak

Bohater 3-planowy: Kierownik

Proszę kierownika o herbatę. Kierownik wychodzi.

Proszę pracownika kuchni o herbatę i słyszę, że muszę poczekać na kierownika.

Proszę pracownicę kuchni o herbatę i z odpowiedzi dedukuję, że bez kierownika nie da rady.

Pytam panią ponownie, czy naprawdę nie może po prostu zalać wrzątkiem torebki herbaty.

Pani nie rozumie, a jak odpowiada to ja jej nie rozumiem, ponieważ jest prawdopodobnie z Ukrainy.

Założyłem na przemoczone skarpetki chlupiące buty, przeprosiłem kierownika za pozostawione kałuże i popędziłem w dół. Nie czułem się zbyt pewnie, ponieważ nie bardzo mogłem już sobie pozwolić na błąd. Formą zabezpieczenia mógłby być schowany na czarną godzinę i zabezpieczony przed wilgocią polar lub termos z gorącym napojem. Niestety nie miałem żadnej z tych rzeczy, więc jeśli zgubię szlak i wydłużę zejście, lub jeśli np. zacznie wiać to może być cienko.

Szlakiem już w tym momencie płynie rzeka. Czasem idę czasem biegnę rozbryzgując na boki wodę. Średnio co 8 minut słyszę z plecaka: „przebyłeś 1km... 2km... 3km...” i po godzinie jestem już za połową trasy. Tak jak podejrzewałem nie udało mi się w zejściu rozgrzać więc zaczynam układać w głowie plan, co zrobię jak dotrę do pensjonatu. Na początek gorąca kąpiel? A może coś zjeść? Przebrać się w suche? A może...

...wszelkie dylematy rozwiązała za mnie ekipa i gdy tylko wpadłem do ośrodka dostałem „środek antywirusowy” z zaleceniem kontynuowania kuracji.

Sumarycznie: pokonanie 1100mH w górę i w dół na dystansie **24,6km** idąc i biegnąc zajęło mi **3h49'**.

Wchodząc w 2h04' pokonałem 12,8km (dwukrotnie zgubiłem szlak). W zejściu dopilnowałem oznaczeń szlaku i finalnie 11,8km przebyłem w 1h45'.



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

Similaun 2012 – dla Andrzeja

Wstęp [Dziku]

To był grudzień 2012 roku. Zatem 8 lat zbierałem się do napisania relacji i wygląda na to, że już tego nie zrobię. Jest jednak tekst upamiętniający tamte zdarzenia. Napisał go przed laty Dawid a dziś odnalazłem go na jednym z nośników pamięci. Swoje odleżał, teraz czas na publikację. Dziś jest mi to zrobić łatwiej bo bardziej odporny jestem na oceny. W końcu to coś co ludziom wychodzi najłatwiej – wyręczanie Boga i wydawanie osądów. Co nie zmienia faktu, że zrobiliśmy rzecz głupią i nie mieliśmy prawa tego przeżyć, a już na pewno nie Aga. Nigdy nie zapomnę tego widoku, kiedy próbując utrzymać się na powierzchni lawiny zobaczyłem ją pędzącą wraz z masą śniegu z niezwykłą prędkością w dół żlebu. Trwało to zaledwie sekundę, kiedy Aga zniknęła z naszego pola widzenia. Śnieg był mokry i ciężki, więc każdy jego mały fragment miał wystarczającą masę i siłę by przydusić, zabić na miejscu. I ta kula, która zatrzymała się metr od głowy zabetonowanej i unieruchomionej Agi...

Wpis ten zamieszczam też dlatego, że chcę upamiętnić czas, kiedy poznałem wspaniałego człowieka, który niedawno odszedł z tego świata.

Andrzeju – znajomość z Tobą i Twoją rodziną wpłynęła na nasze życie – nawet nie wiesz jak bardzo. Podejrzewam, że tego nie przeczytasz, bo tam gdzie jesteś może być problem z Wi-Fi. Zakładam więc, że wszystko opowiemy Ci gdy się spotkamy.

„No cóż, warunki są, jakie są. Nic nie poradzimy. Przeżyć chcemy, natomiast ciężka pogoda nas nie boli. Generalnie zima: sporo śniegu już leży, trochę pada, konkretnie dmucha i jest zimno. Będzie fajnie.”

Andrzej Głazek (1963-2019)



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

Relacja [Dawid]

Skąd pojawił się ten pomysł? Wrocław, knajpa pod nasypem, grudzień 2010. Zapytałem Jarka: „Czy dałbym sobie radę?”.

Odpowiedzią nie było „nie”.

Jeszcze tego wieczora zobaczyłem na własne oczy jedną członkinię wyprawy na Ural i umocniłem się w przekonaniu, że też kiedyś spróbuję.

Wyjazd chodził po głowie przez kolejne dwa lata. Problemem było moje doświadczenie w górach: Kopa wyciągiem, Wielka Sowa, no i oczywiście film o wspinaczce na K2.

13.11.2012

Kolejna wycieczka organizowana przez Dzika „SIMILAUN 3599 m n.p.m.”, tym razem nie przepuszczę.

Dziku i Pani Sandra ze Skalnika (tego niebieskiego) pomogli skompletować co potrzebne.

Pytanie Pani Sandry „Wiesz, że w Alpach zimą jest niebezpiecznie, po co tam jedziesz?” utwierdziło mnie w przekonaniu, że Alpy zimą na początek to dobry wybór.

12.12.2012

Podejmujemy ryzyko i wyjeżdżamy z Wrocławia. Zagrożenie lawinowe w Ötztal Alps utrzymuje się na poziomie 3. Prognoza pogody napawa optymizmem, może spadnie na 2.

Wczesnym rankiem po ok. 10 godzinach jazdy po pustych autostradach, jesteśmy w Vent 1893 m n.p.m.

13.12.2012

Na miejscu szukamy parkingu i przy drugiej próbie udaje się nam zaparkować w podwórku za hotelem. Miły Pan informuje nas, że nie musimy za nic płacić i pyta gdzie idziemy, kiedy wrócimy?

-Martin-Busch-Hütte, Similaun, duże zagrożenie lawinowe, wiecie o Tym?

-Wiemy.

Do Schäferhütte 2244 m n.p.m. szliśmy przetartym szlakiem.

Powyżej zaczęły się trudności i pierwsze zdziwienie –

przejścia po lawiniskach. Dla mnie wyczyn życia i jak stromo!

Na sam koniec nasza grupka rozciąga się. Odczuwamy brak jednej pary rakiet (tzn. Dziku odczuwa).

W 7 godzin przeszliśmy 9km i uzyskaliśmy 600 m przewyższenia. Na trasie spotkaliśmy tylko stado kozic.

2501 m n.p.m Martin-Busch-Hütte

Nagroda: światło, ogrzewany przedsionek i pomieszczenie na graty.

Jest jeszcze jasno, Janek i Jarek pozwalają sobie wyskoczyć na mały rekonesans trasy.

-Dużo śniegu, widać Similaunhütte.

(zawiało optymizmem i już w myślach robiłem zdjęcia pod krzyżem na szczycie)

14.12.2012

Przy świetle czołówek wyruszamy ze schroniska, staramy się trzymać szlaku letniego i idziemy trawersami po zboczu. Jednak przy takiej ilości śniegu i ograniczonej widzialności idzie nam opornie, do tego kilka żlebów i strumyków.

Ja zapadałem się w rakietach do połowy łydki, a Dziku bez rakiet do połowy uda.

Po 3 godzinach torowania Dziku rezygnuje z dalszego podejścia i zawraca do hotelu.

(Jak się później okazało jego powrót był walką ze śniegiem sięgającym do pasa.)

Janek i Andrzej przecierają szlak, a Similaunhütte dalej nie widać.

Dopiero pod samym lodowcem zauważamy punkt orientacyjny-Similaunhütte.

Zmiana kijków na czekany i zdobywamy wysokość podchodząc pod lodowiec.

Na 3100 m n.p.m wchodzimy powyżej pułapu chmur. Tego widoku nie zapomnę do końca życia.

Muszę się zatrzymać na dłużej i zrobić zdjęcia.

Pokonaliśmy dopiero 700 m przewyższenia i zajęło nam to 5,5h.

Similaun kusi i jest jakieś 1,5 godziny od nas.

Ja osiągnąłem tego dnia swój mały cel „próba lodu z lodowca” i mogę odpuścić. Poza tym cały czas jakoś dziwnie brakuje mi tchu.

Możliwość powrotu z czołówką nie motywuje nikogo do podjęcia wyzwania.

Na 3200 ja i Aga objadamy się bakaliami i słodkościami, popijając resztką herbaty. W tym czasie Janek i Andrzej atakują dalej, w poszukiwaniu lepszego widoku.

Powrót okazał się stosunkowo łatwy i szybki. Widzialność poprawiła się znacznie, co pozwoliło wybrać nowy krótszy szlak. O 15:30 wszyscy byli w schronisku.

Dziku tak jak obiecał przygotował „schabowego” i pyknął kilka fotek powracającej grupie.

Odnalazł też zasypany strumyk obok schroniska, przez co nie musieliśmy już topić śniegu i mogliśmy się wykąpać.

Na jutrzejszy dzień planujemy wyjście tak, aby nie torować już kilometrów w kopnym śniegu.

W menu mamy Kreuzspitze. Na lodowcu wymyśliłem, że jutro swoje rakietę oddam Dzikowi, przez co nigdzie nie pójde. W ten prosty sposób, nie wyjde na słabego, tylko na bohatera.

Mój misterny plan się nie sprawdza, mamy iść tylko w rakach.

15.12.2012

Wypoczęci i zaaklimatyzowani startujemy godzinę przed świtem. Tym razem, od razu zaczynamy ostro do góry, co bardzo mi się podoba. Dobra widzialność, stromo, ślisko, takie góry to ja lubię.

Na wypłaszczeniach jest tyle śniegu, że nie da się go torować, ale można się po nim czołgać.

W przeciwieństwie do dnia poprzedniego na ok. 3100, pogoda pogarsza się, pada śnieg i temperatura dodatnia, jednak liczymy na poprawę i dzielnie torujemy do góry.

Po 4h doszliśmy do kopczyka/statywu i Dziki pstryka pamiątkową

fotę całej drużynie.

Ten odpoczynek przed szczytem tak rozleniwił drużynę, że rezygnujemy z dalszego podejścia.

Tego dnia znowu marne 3200 m, Aga pociesza mnie, że to dużo w Alpach zimą...

Powstaje nowy plan zejścia jeszcze dzisiaj do samochodu i wyjazdu do PL.

Dziku rasowy instruktor przytacza statystyki: „80% wypadków zachodzi podczas powrotu, uważajcie.”

Staramy się wracać śladami, które zdążyło już częściowo zasypać.

Wszystko szło ekspresowo, a tu nagle mylimy drogę i lądujemy dwa żleby od dobrej ścieżki.

Trzeba się przedostać na dobrą stronę, wybieramy płaskie miejsce i tniemy żleb. Zachowujemy odstępy, Dziku po chwili jest już na drugiej stronie. Aga przechodzi druga i jest już na przeciwnym zboczu.

Kolej na mnie. Schodzę z ubitego kawałka w miękki śnieg i słyszę ten dźwięk... Wypowiadam słowo świadczące o niskiej kulturze osobistej i staram się przeskoczyć na twarde, gdzie stał Janek i Andrzej. Jednak przesunąłem się już o dobry metr od nich. Basowe grzmienie narasta i kątem oka widzę Agę szybko jadącą na dół.

Ja też zaczynam osuwać się z masą śniegu, pechowo upadłem twarzą w śnieg, staram się hamować czekaniem, ale nie przynosi to efektu. Zaczyna się robić coraz ciemniej i przy próbie oddechu mam pełną buzię śniegu.

Postanawiam przerolować się na plecy. Uff, znowu zrobiło się jasno. Wpadam na pomysł, żeby przerolować się znowu i próbować hamować. Tym razem jest to skuteczne, uderzam kolaniem w kamień i cieszę się, że pod spodem jest twardo. Wreszcie zatrzymałem się, słyszę poruszający się śnieg, ale nie jadę, delikatnie mnie przysypuje.

Jupiii!, wszystko ustało. Przejechałem jakieś 50 metrów Janek i Andrzej stoją, tam gdzie ostatni raz ich widziałem.

Dziku, też jest, nie widać Agi. Zaczynamy krzyczeć, ale nie słychać odzewu.

Patrząc w dół, widziałem tylko śnieg i obawiałem się najgorszego,

Jednak Dzik uradowany krzyknął, że widzi rękę i czerwoną czapkę.

Aga zatrzymała się w połowie długości lawiny, przejechała lekko 150 metrów. Przez cały czas udało jej się utrzymać na górze, jednak na koniec zabetonowało ją w dość finezyjnej pozycji. W swojej zielonej kurtce przypominała rozjechaną żabę z czekanem w ręku. Drugą wolną ręką mogła odkopać głowę. Odkopanie jej, zajęło nam dobre 5min. Aga oprócz kontuzji kostki wyszła z tego bez większych obrażeń.

Dalsze zejście, to dobra lekcja dla początkujących, troszkę wspinaczki i ciągłe wyszukiwania twardych miejsc porośniętych trawą. Byliśmy przy tym mocno motywowani wzrostem temperatury, poprawą pogody i mikrolawinami pod naszymi nogami. Ze stoku na szlak zeszliśmy po śladach kozic i dalej bez większych przygód przez potężną zaspę doszliśmy do schroniska.

Przy takiej pogodzie zejście do Vent byłoby nierozważne, więc pozostałą część dnia przeznaczaliśmy na suszenie się przy rozpalonej kuchni.

16.12.2012

Tej nocy nie przespałem tak spokojnie jak ostatniej. Bardzo liczyłem na mróz, który zmroziłby śnieg leżący w żlebach. A według mapy mieliśmy ich pokonać osiem.

Już w nocy wiedziałem, że na duży mróz nie można liczyć. Jedyny plus to brak świeżego śniegu. Czekał nas dzień pełen wrażeń.

Po przejściu 100 m od schroniska Jankowi i Jarkowi zwariował błędnik po przesunięciu się z taflą śniegu. Na drugim żlebie zadeklarowałem, że za żadne skarby nie przejdę przez zaspę. Kupą światła z czołówek wyszukaliśmy bezpieczny szlak wyżej.

Dalsza trasa była względnie bezpieczna. W niektórych miejscach poschodziły lawiny, a w innych Jarek i Aga zakładali stanowiska, co na chwilę odsuwało z głowy myśl, o zsunieniu się z tonami śniegu.

Po każdym żlebie prosiłem Dzika o mapę i odliczałem ile zostało do kosodrzewiny.

Stresik jaki panuje, gdy przez newralgiczne miejsce przechodzi ostatnia osoba, jest nie do opisania.

Na schodzenie poświęciliśmy 5 godzin i już po 12-tej byliśmy gotowi, aby powrócić do rzeczywistości.

tekst: Dawid

Z dziećmi pod namiot – krótki poradnik

Środek nocy – jest ciemno, zimno i mokro – z namiotu wychodzi Mysia (2,5 l), siada na nocnik, rozgląda się i wesoło woła: „O! Nie pada!”

Zasada nr 1 – za wiele się nie zastanawiać

Decyzja o wyjeździe pod namiot była spontaniczna. Zaczęło się od tego, że przyjaciele przesłali nam zdjęcie ich niespełna 3-letniego maluszka, z którym zdecydowali się spędzić biwak w naturze. Decyzja zapadła niemal natychmiast. Tydzień później zaparkowaliśmy na kempingu [Kotarz w Brennej](#).

Do tej pory polskie kempingi kojarzyły mi się z traumą i złotem troglodytów, którzy od razu po przyjeździe otwierają browara a następnie drzwi od auta, by lepiej było słychać jakąś podłgą muzykę albo popularne stacje radiowe, w których prowadzący albo są idiotami albo mają słuchaczy za idiotów.

Dlaczego zatem ryzykując kolejną traumę postawiłem na Kotarz? Urzekła mnie czerwona czcionka, jaką zostały spisane zasady korzystania z ich usług. Urzekły mnie też same zasady. I nie

pomyliliśmy się – prowadzący kemping bracia Łukasz i Marcin dbają o porządek. Już na ich stronie możemy przeczytać:

Bardzo zależy nam na tym, żeby pobyt na naszym kempingu odbywał się w spokojnej, rodzinnej atmosferze. Nie tolerujemy głośnych imprez, przekleństw, pijaństwa i tym podobnych zachowań.

Zasada nr 2 – angażować

Nie ukrywam, że stresowałem się przed tym wyjazdem jak nie wiem co. Jak przewidzieć reakcję dzieci (w wieku 2 i pół oraz 4 lata) na wywiezienie ich w obce miejsce i postawienie przed opcją spania na materacu w małym namiocie? Mogło się zdarzyć wszystko, a tymczasem przebieg wycieczki przerósł nasze najśmielsze oczekiwania. Już po dojechaniu na miejsce zaangażowaliśmy dzieci w rozpakowywanie auta, rozkładanie namiotu, stolika oraz pompowanie materaca.

Zasada nr 3 (najważniejsza) – wyluzować

Dzieci były pełnoprawnymi mieszkańcami kempingu i tak się też zachowywały. Wychodziły rano z namiotu i do wieczora biegały po okolicy. Ilości przewyższeń i kilometrów jakie robiły wprawiały mnie w osłupienie. Prawdopodobnie po czymś takim regenerowałbym się przez 3 dni i miał zakwasy. Stroma górką, strumyk, podjazd, korzeń, pień lub skarpa z ziemi – wszystko było dla nich placem zabaw. Dzieci w podobnym wieku zbierały się w grupy, ganiały, bawiły, biły, rozrabiały, zdzierały kolana i nabijały siniaki – wszystko to, co potem wspomina się jako najcudowniejsze chwile spędzonych wakacji. Nasza rola była w tym kluczowa: jedynie im **nie przeszkadzać**.

Kilka przemyśleń

Na te cudownie spędzone 4 dni na kempingu mogło mieć wpływ wiele rzeczy i niekoniecznie muszę sobie z nich zdawać sprawę. Podejrzewam jedynie, że pomogło obycie nasze, czyli rodziców z biwakowaniem. Samo to, że nie musimy „polować” na wodę, topić

śniegu, że możemy się umyć pod bieżącą wodą albo umyć naczynia – to wszystko powodowało, że zachowywaliśmy się jakby był to pobyt w największym komforcie. Dzieci musiały wyczuwać, że wszystko jest ok i brak prądu, łóżek oraz gotowanie i spożywanie posiłków pod chmurką jest czymś zupełnie naturalnym.

Dodatkową zaletą nie do przecenienia było towarzystwo przyjaciół z dziećmi w podobnym wieku. Ta czwórka od razu stworzyła bandę. Do spania zdecydowaliśmy się zabrać kołdry i poduszki bezpośrednio z ich łóżek i być może aklimatyzacja dzieci do spania w namiocie przebiegła właśnie dzięki temu (zaglądając do namiotu widziały znajomą pościel a nie obco wyglądające śpiwory).

Zupełnie obyliśmy się w tych dniach bez prądu i urządzeń typu tablet czy laptop i słusznie, bo przez te kilka dni żadne dziecko nic nie wspomniało o oglądaniu bajek.

Lista sprzętu

Nie wszystkie z tych rzeczy mieliśmy ze sobą, może też być coś innego, co ktoś uzna za niezbędne a tutaj tego nie ma. Jednak taka lista jest świetną bazą i myślę, że może się niejednemu przydać. Bez wątpienia my jeszcze nie raz z niej skorzystamy, więc w przyszłości może nieco ewoluować.

Co zabrać	Komentarz
Materac	Dmuchany
Kołdry i poduszki	Te same co dzieci używają w domu. Szerokie na tyle, że dziecko z dorosłym swobodnie się pod taką kołdrą mieszczą.
Prześcieradło	Z gumką na wymiar materaca. Warto mieć też zapasowe

Co zabrać	Komentarz
Apteczka	Coś na ugryzienia komarów, termometr dla dzieci, coś przeciwwgorączkowego, plastry na obtłuczone i zdarte kolana
Parasol przeciwsłoneczny	Na lekki deszczyk też da radę. Najlepiej kompatybilny ze stolikiem
Stolik i krzesła/krzeselka	Najlepiej kompatybilny z parasolem. Małe krzeselka dla dzieci i duże dla nas
Parasolki na deszcz	Mogą być przydatne podczas przemieszczania się do sanitariatów w ulewie
Namiot	Na kempingach królują obecnie hangary z paroma sypialniami i dużymi przedsionkami, my jednak zgrabnie poradziliśmy sobie w wyprawowej czwórce, w której nawet dziecko nie mogło stanąć wyprostowane a w przedsionku mieściły się co najwyżej buty
Siekierka/młotek	Do wbijania szpilek od namiotu
Cerata na stół	Łatwiej zachować czystość oraz chroni stół przed deszczem
Koc piknikowy	Służy m.in. dzieciom do zabawy
Mata lub plandeka	Do wyściełania w przedsionku namiotu
Nosidełko dla dziecka	Na wędrowki
Plecaki i plecaczki dla dzieci	Na wędrowki

Co zabrać	Komentarz
Zabawki, piłka, coś do piasku, coś do wody, pluszaki, lalki, kajaki, rowery, ponton, stroje kąpielowe, lornetka	Wedle uznania dzieci i w zależności gdzie jedziemy i co lubimy robić
Krem z filtrem na słońce	
Papier toaletowy	
Kosmetyki	Mydło, szampon, pasta, szczoteczki itp.
Mokre chusteczki	Na wypadek "dnia dziecka", kiedy to tylko przemyjemy dziecku pupę przed spaniem
Środek przeciwko komarom i kleszczom	
Lusterko	
Ręczniki	Oprócz ręczników kąpielowych warto zabrać ręczniki szybkoschnące (na wypadek wilgotnej aury)
Patelnia, garnki, kubki, sztucce, talerze, noże, menażki z uchwytem	
Kuchenka do gotowania plus paliwo	Benzynowa, gazowa lub elektryczna
Świeczki	Robią klimat zapalone wieczorem na stoliku
Aparat fotograficzny	
Ładowarki	Awaryjnie przynajmniej samochodową ładowarkę do telefonu
Czołówki i/lub latarki	Warto, żeby każdy miał swoją

Co zabrać	Komentarz
Lodówka przenośna	Nawet taki pojemnik na wkłady (bez zasilania) będzie na upalnie dni lepszy niż nic
Ręczniki papierowe	
Płyn do mycia naczyń, gąbka i plastikowa miska	W plastikowej misce łatwiej przenieść brudne naczynia
Ściereczka, ręcznik kuchenny	
Folia aluminiowa	
Grill	Jeśli ktoś lubi
Worki na śmieci	Polecam solidne, wiązane
Linka na pranie	Może się przydać nawet, gdy nie zamierzamy prać
Proszek do prania	
Butelki/bidony na wodę dla dzieci i dorosłych	
Ubrania	Na słońce i deszcz, na dzień i na noc, na zimno i na gorąc
Czapeczki na słońce	
Gumiaki dla dzieci	
Kłapki pod prysznic	
Zapałki, zapalniczka	Zapałki potrafią zwilgotnieć
Zmiotka	Brakowało mi jej gdy np. chciałem pozamiatać sypialnię namiotu
Zatyczki do uszu	
Kocyki lub koc	Miło się przykryć przesiadując wieczorem na leżaczkę. Koc mógłby też służyć jako awaryjne docieplenie w nocy
Nocnik	

Co zabrać	Komentarz
Parasol	Żeby pójść w deszczu do WC
Packa na muchy/komary/osy	

Otwarta pętla – Mont Blanc – część 2/2

tekst: M.Mazur (XII 2019)

wyjazd miał miejsce w lipcu 2015

Część 1/2 tutaj:

[Gran Paradiso \(4061\) – jak miał na imię pies Lucky Luck'a?!](#)

Część 2/2:

Mont Blanc czy Monte Bianco

Już w drodze z Polski dużo rozmawiamy o tym czego się spodziewamy; jak wygląda trasa, historie o miejscu z „rolling stones” i o tym, jak Dzik z Agą byli na Blancu kiedyś zimą i nie wiedzieli, że w schronie na 4200 prawdopodobnie dokładnie wtedy były tam zwłoki jakiegoś nieszczęśnika, którego odnaleziono po kolejnych kilku dniach. Takie i inne wesołe historie sprawiły, że wręcz nie mogłem się doczekać naszego wejścia. Dzik wspomina, że kiedyś z inną ekipą wchodzili od włoskiej strony i jak bardzo to wejście jest nieprzyjazne, słucham i myślę sobie, żeby tylko nic się nie wydarzyło co będzie kazało nam wchodzić od włoskiej strony.

Dojeżdżamy do Chamonix, w informacji dowiadujemy się, że droga na szczyt jest zamknięta bo luźne kamienie spadają i jest niebezpiecznie, szybka decyzja – jedziemy do Włoch i wchodzimy

od tamtej strony (sumienie podpowiada mi znowu „o ja cię...”).

<http://dzikumaniak.pl/wp-content/uploads/2016/12/montebianco.mp4>

Kilka godzin i kilka tuneli później jesteśmy po drugiej stronie gór i rozbijamy obóz na polu kempingowym Courmayeur jakoś tak na 1500 m n.p.m. Przygotowujemy sprzęt i siebie, Dziku się martwi, Aga mnie opieprza że mam przykurcze mięśni i mam się rozciągać, Grzechu pomaga mi ogarnąć pęknięte raki i jak je powiązać żeby dały rade. Znowu rozmawiamy o tym co może pójść nie tak, tym razem same przyjemne tematy jak np. to, że niektóre szczeliny mają po 100 metrów, a niektóre mają nie wiadomo ile. Ćwiczymy wykorzystanie prusików w przypadku gdyby trzeba było samemu się wydostać ze szczeliny. Pierwszy raz dociera do mnie, że tu można umrzeć.



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

Startujemy na drugi dzień rano, podjeżdżamy kawałek samochodem, żeby nie człapać bez sensu asfaltem i wchodzimy na szlak. Wygodny i szeroki, wyraźnie oznaczony prowadzący do czoła lodowca Miage. W drodze tutaj nasłuchiwałem się trochę o tym miejscu i o tym, że nasz wspólny znajomy Tomek swego czasu przeklinał ten lodowiec wszystkimi znanymi ludziorom przekleństwami a nawet wymyślił kilka nowych. Zapowiada się ciekawie pomyślałem kiedy zobaczyłem ostre podejście po luźnym boku lodowca. Nie wiem co sobie wyobrażałem ale słysząc „lodowiec” miałem w głowie coś innego. Długa ponad 5km droga po krajobrazie księżycowo-marsowym. Lodowiec jest pod spodem, pod warstwą kamieni niczym sernik pod kruszonką. Słowo „Kamienie” nie oddaje dobrze tego jak wygląda ta droga, bo niektóre kamienie są wielkości buta, niektóre lodówki a jeszcze inne samochodu marki Nysa. Drogi szukamy przez wynajdywanie kopczyków z kamieni, które ktoś przed nami ułożył, Dzik pokazuje nasz cel – schronisko Gonella, które ze względu na blaszaną elewację nazywamy „żelazkiem”. Jest ledwo widoczne z tej odległości i mocno demotywujące bo co jakiś czas zerkam na nie, ale nie widzę żeby się powiększało.

Człapiemy prze lodowiec słysząc wodę pod nami i kamienie, które spadają razem z topiącym się pod nimi lodem i naszym po nich łożeniem. Bez większych przygód, choć cholernie łatwo było głupio skrócić kostkę na tym lodowcu, (którego dobre prowadzenie matki zakwestionował przed nami kolega Tomek a ja dołożyłem od siebie co nieco) dochodzimy do ostrego podejścia. Technicznie łatwe, dobrze ubezpieczona trasę cały zespół pokonuje dość sprawnie, ze śpiewem na ustach niemal, za to ja przechodzę piekło, nie da się pozytywnymi myślami wejść na szczyt, góra weryfikuje wszystko bezlitośnie, za każdy nieprzepracowany dzień przed przyjazdem tutaj przychodzi mi teraz słono zapłacić. Na mnie plecak z żarciem, namiot, lina, inny sprzęt, przede mną jeszcze kawał drogi a w bidonie koniec wody. Słyszę ją jak spływa gdzieś między skałami, ale nie da się do niej dostać.

Lipcowe słońce ostro operuje, jest pomiędzy 12 a 13 godziną, cienia nie ma a przed nami jeszcze spory kawałek. Dochodzimy do schroniska i padam, myślałem że tylko w głowie sobie to mówię, ale jednak powiedziałem to na głos, że w życiu nie byłem tak zmęczony. Jestem na siebie cholernie wkurzony, czuję się słabo i jestem słaby, zaczynam się poważnie obawiać czy dam rade wejść na szczyt. Z pomocą przychodzi pogoda i zmusza nas na zostanie ponad dobę w schronisku. Mieliśmy czas na odpoczynek, w schronisku znalazłem polska książkę o wypadkach w górach, bardzo ciekawa lektura po tym ja już tu się dostałem. Pozytywnie nastrajające tematy jak historia o tym jak grupa ludzi połączona liną dla asekuracji, zaczęła się ześlizgiwać z ostrego zbocza lodowca raniąc się nawzajem rakami na nogach i czekanami. Znalezione wszystkich martwych, wciąż związanych razem jedna liną. Aga, Grzesiek i ja gramy w karty a Dziku się martwi. Kolejny raz sprawdza sprzęt i liczy ile mamy zapasów jedzenia, sprawdza co godzinę pogodę na metoblue i to się uspokaja to ma minę jak tato łobuza przed wywiadówka. Dla mnie to jest coś bardzo uspokajającego, widzę że jeśli jest ryzyko to on o tym wie i nie powinniśmy być zaskoczeni żadną sytuacją. To daje duży spokój głowy, bo skoro

on się martwi to my możemy odpocząć.

Startujemy po dwóch noclegach, jest nieźle, trochę odpoczęliśmy, pogoda zapowiada się dobrze na kolejne dni. Połączeni liną idziemy w szyku – Dzik, Aga, Grzesiek i na końcu ja. Droga, która była wyznaczona na mapie jest jedynie sugestią. Dzik idzie z przodu i wyszukuje możliwej drogi przejścia i szczelin, które można przeskoczyć żeby nie nadrabiać drogi. Trochę frustrujące jest to, że czasami idziemy 20-30 minut w górę, po to żeby trafić na ślepy zaułek w labiryncie szczelin i wycofywać się w dół. Cel to wysokość około 3600-3700 tam chcemy rozbić namioty i z tego miejsca startować na finalny atak. Lina trzyma nas razem, nie ma miejsca i czasu na opierdzielanie się, zaczynają mięknąć mi nogi. Kilka razy muszę przystanąć zatrzymując całą ekipę. W pewnym momencie klękam na jedno kolano i mówię że muszę odsapnąć. Grzesiek proponuje że weźmie namiot, ja nie chce! Czuję, że przegrywam z górą, nie chce całkiem się poddać. Dzik podchodzi bez słowa odpina namiot od mojego plecaka przytracza do swojego, który ma i tak mocno objuczony i startujemy dalej. Nie mam siły protestować, każdy kilogram mniej to zbawienie. Nigdy nie zapytałem go co wtedy miał w głowie, czy było to „cholera jasna z mięczakami” czy może „ok jesteśmy zespołem idziemy razem” ale w tym momencie zobaczyłem, że prawdziwych przyjaciół poznaje się wtedy, gdy wezmą na siebie ciężar, który sam na siebie sprowadziłem, a którego nie dam rady udźwignąć.

Docieramy na około 3700 m, gdzie w okolicach dużego kamienia znajdujemy kawałek wypłaszczenia wystarczającego na rozbięcie dwóch namiotów. Alpejskie gęsi wyścigowe w trójkę idą na zwiad, ja proponuje ofiarnie, że zostanę popilnować sprzętu (zadanie o tyle łatwe, że nie spotkaliśmy nikogo na trasie i jesteśmy chyba jedynymi, którzy atakują z tej strony).

Idzie rak i gówno z tego.

Startujemy w nocy, jest ciemno, zimno, mięśnie ciągle boją, bigos lyo nie ułożył się dobrze, ogólnie „w górach jest

wszystko co kocham". Docieramy do ostrej grani, po której okrakiem jak po szczycie stromego dachu powoli krok za krokiem posuwamy się do przodu. Nie jesteśmy spięci liną bo jedna osoba spadając pociągnęłaby za sobą cały zespół. Jest ciemno, ale widzę, że i z lewej i z prawej strony pobłyskujący w czołówce lód znika w ciemnościach. Jest tak stromo że spadając nie ma żadnych szans na zatrzymanie się przy pomocy czekana. Wiele razy myślałem o ryzyku w górach, o tym co robić by nie wpakować się w kłopoty, ale pierwszy raz miałem myśli w głowie że jeśli popełnię błąd, jeśli się zachwieje, ucieknie mi noga albo stanie się coś nieprzewidzianego to nie tyle będę miał kłopoty co umrę! Szansa na przeżycie upadku była znikoma lub zerowa. Kostki zaczynają mnie boleć od nienaturalnej pozycji, a w głowie ciąga myśl „czy raki wytrzymają”.

Wreszcie koniec! Przeszliśmy przez tą dramatyczną grań i wchodzimy już na 4000 metrów i wielką otwartą przestrzeń. W oddali widać czołówki ekip startujących od francuskiej strony i blaszany schron. Docieramy do niego koło 6 rano wchodzimy na chwilę, żeby wciągnąć delikatne śniadanie i odsapnąć. Mój organizm zapragnął zostawić w tym miejscu po sobie coś, co za tysiące lat będzie analizowane przez archeologów. Ekipa nie może czekać bo marznie, więc ja staram się jak najszybciej dokonać ostatecznego aktu zbyszczeszczania góry pozostawiając za sobą kupę w kibelku przy Vallocie. Kiedy w końcu zapinam wszystkie warstwy i uprząż, widzę że daleko przede mną są małe punkciki, to ekipa tak wyrwała do przodu. Biegli cholera czy co?! Staram się ich dogonić, ale we znaki daje się wysokość. Dziku poczekał chwilę i do niego udaje mi się dojść, Aga z Grześkiem mocno na przodzie. Powyżej 4500 m każdy krok jest trudny, mówię Dzikowi, że muszę odsapnąć, on ze spokojem odpowiada że teraz nie odpoczywam, że tu na stojąco tracę energię i musimy iść. Przechodzę w tryb 50 kroków. Spuszczam głowę w dół, patrzę pod nogi, skupiam się tylko na kolejnym kroku i liczę do 50. Po odliczeniu przystaje na chwilę ale Dziku jest krok za mną i każde 5 sekund dłuższego postoju powoduje, że to delikatnie mnie klepie po ramieniu to chrząka znacząco. Z boku musiało to wyglądać jak kat prowadzący

skazańca na szafot. Patrząc co jakiś czas przed siebie i widząc że jest! Jest szczyt! dostaję kopa energii bo przecież to już tu, już za chwilę. Żeby ze wściekłością zobaczyć że to taki przedwierzchołek i teraz trzeba zejść w dół, żeby znowu się wdrapywać.

Szczyt i zejście

31 lipca 2019 roku około 9 rano zdobywamy Mont Blanc. Na szczycie kupa radości, piękny widok, mroźny wiatr ale bardzo dobra widoczność, udało nam się wejść w jednym czasie więc uściski, gratulacje i wspólne fotki i startujemy w drogę powrotną. Mijamy dzikie tłumy, przewodników targających na linie klientów za nimi, duże i mniejsze grupy, w kilku miejscach musimy czekać bo jest ruch wahadłowy. To mnie trochę zaskoczyło, nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo popularny jest pomysł żeby zdobyć „Dach Europy”.

Powtórny horror z ostrą granią, tylko tym razem jest jasno i widać to co w nocy czuliśmy – otchłań z lewej i prawej strony. Bez sensu! W filmach bohaterowie zdobywają górę krzycząc, ciesząc się i są napisy końcowe a tu cholera jeszcze kupa męki przed nami. Bez przygód, ale wciąż z maksymalnym skupieniem docieramy do namiotów. Są wczesne godziny popołudniowe, znowu coś mnie ciągnie z dala od tej góry, chce już być na dole, bezpieczny, z daleka od szczelin, grani, lodu i przepaści. Namawiam resztę żebyśmy startowali, uczucia są mieszane, ale jak to w demokracji większość zmusza mniejszość i startujemy. Aga nie czuje się najlepiej, chce zejść niżej, ale rozbić namiot gdzieś na Miage i zostać na noc. Dziku martwi się pogodą, ja chce być już w bezpiecznym namiocie, ale daleko od tego lodowca. Człapiemy powoli rozciągamy się w szyku, ja zostaje z Agą z tyłu żeby tym razem być przydatnym jako podtrzymywacz na duchu.

Ciemną nocą docieramy na pole namiotowe, dogadujemy się z właścicielami żeby nie rozbijać namiotów tylko przespać się na podłodze w jadalni. Praktycznie w momencie naszego wejścia na jadalnię zaczyna się ostra ulewa i pada całą noc, ale my

jesteśmy pod dachem, jest ciepło, jesteśmy najedzeni.

Po co?

Po ponad 4 latach, gdy pisze tę relację, zastanawiam się po co mi to było? Sprawdzić siebie? Pokonać ograniczenia? Zrobić coś z czego będę dumny? Nic z tego nie było głównym motywem tego wyjazdu, chcieliśmy razem przeżyć przygodę i razem pokonać górę. Ten cel osiągnięty został całkowicie.

Uwielbiam góry, pokonywanie ich i siebie ale nie znam kogoś kto tak kocha góry jak Dzik i Aga, potrafią jechać 15 godzin samochodem w nocy z czwartku na piątek, żeby zdobyć kolejny szczyt i jeszcze w niedzielę na kolację wrócić do domu.

Bardzo chciałem zobaczyć góry ich oczami, zrozumieć dlaczego tak bardzo ich ciągnie tam gdzie zimno, głodno i niewygodnie. Uzależniające jest poczucie przestrzeni, odległości nie tylko do kolejnego etapu wspinaczki ale również od problemów, które wydają się być absolutne i ostateczne a z wysokości stają się szumem. Pracując przez 16 lat w firmie, która jak każda w jej rozmiarze stara się wdrukować w głowę to, że czerwone wskaźniki w arkuszu Excela czy raport w postaci 10 slajdów prezentacji jest największym problemem świata, który zatrzyma się jeśli ten pierwszy nie będzie zielony a prezentacja nie będzie miała animacji.

Zdecydowanie wróć w Alpy, nie dla zaliczania szczytów na liście, ale dla powtórki przeżycia tego poczucia braterstwa i jednego prostego wspólnego celu przed nami. Zostało mi w głowie wciąż tyle obrazków z tej wyprawy, ale jeden z najsilniejszych to skoki przez szczelinę. Grzesiek przede mną pokonuje tę przeszkodę, wybiera luz liny przybiera postawę mocniej wbijając się w śnieg rakami i daje lekkim skinieniem głowy sygnał. Ten gest mówi wszystko – jestem gotowy, możesz mi zaufać, jeśli będzie trzeba złapie Cię, albo pójdę za Tobą. Takich ludzi na końcu liny potrzebujemy w naszym życiu, którzy bez słowa przejmą nasz ciężar gdy ukłękniemy pod jego wagą, albo będą tuż za Tobą, żeby dać Ci impuls do parcia naprzód.

tekst: M.Mazur

Korpoturystyka – cz.3 – Śnieżka

fotografia powyżej: Michał Maciałko



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

Na „firmowy” wyjazd na Śnieżkę, który odbył się w lutym zapisy ruszyły w październiku. Wtedy też zarezerwowałem miejsce w schronisku na 12 osób, choć zakładałem, że jakieś 2 albo 3 osoby się zgłoszą. I tu olbrzymia niespodzianka nastąpiła, bo koniec końców pojechaliśmy w komplecie i żadnych miejsc nie trzeba było odwoływać.

Wypad przebiegł w 100% zgodnie z planem. Wszyscy zdobyli szczyt, a co niektórzy dwa razy, z czego raz nocą. Pogoda trafiła nam się jak ślepej kurze ziarno. Pomiedzy dniami, w których wiało i padało trafiło się jednodniowe okno pogodowe i to właśnie w tę naszą sobotę 8-go lutego.

Niestandardowa to rzecz dla mnie organizować wypad w góry dla 12 osób, jednak w tym przypadku nie było z tym związanych absolutnie żadnych trosk. Wszyscy przygotowali się jak należy, a ubrani i wyposażeni byli tak, że nie było się do czego przyczepić. Pewnie, że można było też pójść w dresach, adidasach, skarpetach stópkach, bo i takich osobników mijaliśmy. Cieszę się jednak i dumny jestem, że nasza ekipa przygotowana była na zimowe warunki. Dzięki temu było bezpiecznie i wesoło a na dodatek jedna grupa następnego dnia robiła bonusową trasę i w porywistym wietrze przeszła przez Słonecznik i zeszła do Karpacza określną trasą. Ta ekipa to Tomek, Sebastian i Romek.

Tymczasem pozostali, czyli Michał, Sławek, Mateusz, Łukasz, Ania, Aga, Dzik, Piotrek i Grzesiek zeszli tą samą drogą co poprzedniego dnia do samochodów. Wierzę, że wyjazd pozostawił

pozytywne wrażenie i zachęcił, by szukać kolejnego wyzwania.
Ale to już za rok dopiero, no chyba że...

tekst: Dziku

zdjęcia: Michał (te ładne), Dziku (te zwykłe)

Wąchanie śniegu od spodu



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

Biwak w śniegu

Od dłuższego czasu nastawialiśmy się z Michałem na biwak w śniegu. Jednak jego ilość w górach poza dośnieżanymi stokami narciarskimi pozostawiała wiele do życzenia, no a w sztucznym śniegu to budować igloo raczej nie wypada. Dopiero z końcem lutego padła spontaniczna decyzja, żeby spróbować znaleźć białe чудо w... Beskidach. To sprawa mocno nietypowa dla nas, bo nasze dotychczasowe kontakty z górami ograniczały się głównie do Alp i Sudetów. Bieszczady, Tatry i Beskidy odwiedzaliśmy do tej pory jedynie przez przypadek lub pod przymusem.

I to był strzał w 10-tkę, bo choć śniegu wcale tak dużo jak się spodziewałem nie było, to góry i otoczenie (wraz z czynnikiem ludzkim) zrobiły na nas bardzo dobre wrażenie. Czuliśmy się tam przez te 1,5 dnia po prostu dobrze.

Nasz biwak postanowiliśmy z zrobić w lesie niedaleko schroniska, w którym na tę jedną noc miejsce zarezerwowała sobie Aga. Na spanie w norze zdecydowałem się ja oraz Michał.

Budowa

Podejście do zbudowania igloo zakończyło się niepowodzeniem. Pokrywa śnieżna składała się z cienkich, paru-centymetrowych warstw zupełnie ze sobą niezwiązanych. Nie pomogło wycinanie bloków piłą, w grę nie wchodziło też lepienie ścian z powodu niskiej temperatury otoczenia. Przeszliśmy zatem do planu B – odszukaliśmy w pobliżu z pozoru największą zaspę śnieżną i w

ciemno rozpoczęliśmy kopanie. Niespodzianek mogło być sporo, ponieważ pod spodem mogliśmy natrafić na np. zwalone drzewo lub po prostu ziemię, gdyby zaspą okazała się po prostu zamaskowaną nierównością terenu. Mieliśmy jednak szczęście i choć była to faktycznie górka i nie dało się w niej wykopać jamy śnieżnej to udało się nam wydłubać dwa ponad 2 metrowej długości poziome tunele.

Nasze lokum zatem składało się z wejścia, przedsionka (przykryte dachem z alumaty) oraz dwóch ślepych tuneli. Każdy z nas zajął swoją własnoręcznie wykopaną norę, wyłożył ją karimatą, pościelił i ułożył się w ciepłym śpiworku. Największy stres związany był jedynie z tym, czy nie zachce się komuś w nocy sikać. Wyczołgiwać się wtedy rozebrany na zewnątrz – byłoby brrrrr nieprzyjemnie.

Wnioski

Mieliśmy jedną łopatę solidną (250 zł) i jedną giętką plastikową (25 zł). Przydały się obie, choć ta pierwsza zdecydowanie bardziej (bez drugiej można by się obejść). Obeszliśmy się również bez sondy lawinowej, ale po powrocie natychmiast ją zakupiłem, by mieć na przyszłe biwaki. Po co sonda? Ano po to, żeby zapoznać się z głębokością śniegu, przeszkodami i terenem pod nim jeszcze zanim zaczniemy kopać. Nie przydała nam się piła (taka składana do gałęzi), ale podejrzewam, że gdyby śnieg był twardy można by z jej pomocą wycinać bloki do budowy igloo. Ta opcja jednak nie została jeszcze do końca przetestowana.

Michał spał na karimacie ułożonej na folii NRC, ja zaś spałem na materacu dmuchanym ułożonym bezpośrednio na śniegu. Następnym razem postawię jednak na karimatę z tego względu, że materac ślizgał się po śniegu, śpiwór ślizgał się na materacu a ja ślizgałem się w śpiworze. I zamiast spać całą noc beztrąsko, to co jakiś czas musiałem poprawiać pozycję, ponieważ zjeżdżałem w dół (choć tunel wydawał się względnie poziomy to jednak trudno było to podczas kopania idealnie

ocenić/wymierzyć). Niemniej jednak muszę przyznać, że się całkiem dobrze wyspałem.

Śpiwory puchowe, bardzo ciepłe, spisały się na medal (spaliśmy bez odzieży wierzchniej, ponieważ byłoby za ciepło). Rano była w nich mocno zawilgocona zewnętrzna warstwa, ale to normalne. W środku były suche.

Podczas kopania przemoczyliśmy nieco ubrania, a to byłoby bardzo niekomfortowe, gdybyśmy kładli się spać w tym stanie. Zaletą było pobliskie schronisko, w którym spędziliśmy popołudniu blisko 2 godziny i odtajaliśmy my oraz nasze ubrania. Należy to jednak mieć na uwadze, że „kret” podczas pracy na przodku się zwykle moczy, bo nie zawsze będzie schronisko w okolicy.

Wstępny wywiad oraz wykopanie dziury i odchodzących na boki 2 tuneli zajęło nam 2 godziny. Było to całkiem praktyczne schronienie, pod warunkiem, że nie zmieniłby się drastycznie kierunek wiatru. W skrajnym przypadku mógłby poderwać i zabrać alumatę z dachu, a nam nawiewać śnieżny pył na twarze (mimo, że schowane w bocznych tunelach). Nam w rzeczywistości noc przebiegła bardzo spokojnie a jedyne zakłócenie to był sen o rysiu, który koniecznie chciał mi wleźć do śpiwora i namęczyłem się, by go w tym śnie przegonić.

Wniosek końcowy: nie ma co się nastawiać na konkretną opcję biwakowania i lepiej mieć plany B i C, szczególnie gdy nie jesteśmy pewni co do warunków śniegowych. Dlatego też nie walczyliśmy za długo by ulepić igloo, a raczej postanowiliśmy pójść w inne rozwiązanie. Łatwiej jest dopasować się do warunków otoczenia, niż usilnie próbować to otoczenie zmieniać. Szczególnie, gdy mowa o otoczeniu w środowisku naturalnym.

tekst: Dziuku

PS. mimo towarzyszących na wstępie pewnych smarkowych dolegliwości, do domu wróciliśmy z przeczyszczoną głową, nosem

i zatokami. Nigdzie się tak pięknie i czysto nie oddycha, jak podczas zimowego biwaku.

Gran Paradiso (4061) – jak miał na imię pies Lucky Luck'a?!

tekst: M.Mazur (XII 2019)

wyjazd miał miejsce w lipcu 2015

Otwarta pętla

W 1927 roku radziecka psycholog(szka) Bluma Zeigarnik opisała ciekawe zjawisko psychologiczne później nazwane efektem Zeigarnik. W dużym skrócie ludzki umysł pamięta bardziej zadania niezakończone niż te zamknięte. Przykładem są kelnerzy, którzy pamiętają dokładnie zamówienie każdego stolika aż do momentu uregulowania rachunku.

W metodzie GTD (Getting Things Done) takie niezamknięte zadania nazywane są „otwartymi pętlami” i wręcz krzyczą do nas by je zamknąć, niestety jak to z naszym umysłem bywa krzyczą w najgorszych momentach gdy nic nie możemy z tym zrobić. Każdy z nas ma taką otwartą pętlę i to nie jedną i przeważnie kiedy już leżymy w łóżku tuż przed snem taka pętla się przypomina i wierci głowę zupełnie niczym kapiący kran lub pytanie „jak miał na imię pies Lucky Luck'a?!”.

Taka moja otwartą pętlą jest wejście na Mont Blanc. Minęły już 4 lata od kiedy moi przyjaciele wręcz wciągnęli mnie na tą górę a ja co jakiś czas przypominam sobie, że obiecałem Dzikowi wpis o tym wydarzeniu.



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

Wstęp

Dzika znam od lat, razem zaczynaliśmy prace tuż po studiach, wystarczy napisać że znam go jeszcze z czasów kiedy miał

długie włosy i wyglądał jak heavy metalowiec tuż po koncercie. Jedna delegacja wystarczyła żeby zrozumieć, że jego poczucie humoru jest połączeniem Monty Pythona i kabaretu Mumio a ta znajomość potrwa długo.

Dziku to Maniak, który co chwilę, jeśli chodzi o góry, wyprawia rzeczy, które wywołują u mnie jednocześnie poczucie dumy, podziwu, zazdrości, współczucia.

Bardzo długo namawiał mnie i zapraszał na wspólny wypad w góry wysokie. Mieliśmy razem wiele wspólnych podróży i zdobywania szczytów głównie w ramach Korony Gór Polski, ale w takich górach gdzie nie ma żartów (bez urazu dla polskich gór) jeszcze nie walczyliśmy.

Kiedyś tak „o” wałęsałem, że chciałbym wejść na Mont Blanc, ale to Dziku razem z Aga wręcz wymusili na mnie wspólny wyjazd, plan był prosty: najpierw Gran Paradiso (4061 m n.p.m.) w ramach aklimatyzacji, później atak na Mont Blanc (4808 m n.p.m.). Plan dobry, forma do zrobienia, a w okolicach grudnia 2014 ustawiliśmy się na konkretną datę, że to będzie lipiec kolejnego roku. Tutaj czas na „kawał”:

Kawał

Pewien maturzysta miał bardzo silne sumienie, które potrafiło z nim rozmawiać, na rok przed maturą mówi sobie:

– ok został rok! Czas się przygotować do matury jadę z lekturami i zadaniami

– spokojnie to jest bardzo dużo czasu (mówi sumienie) spokojnie zdążysz masz czas na imprezy

Maturzysta przyznał rację sumieniu i poszedł w balangę. Minęło 6 miesięcy i znowu mówi sobie:

– ok teraz to już jest ten czas, ogień! Uczę się

– to wciąż jest tyle czasu, że zdążysz nie stresuj się

No i znowu imprezy i maniana.

Został tydzień do matury:

– jasna cholera tydzień! Teraz to już muszę się uczyć 24 godziny na dobę

– słuchaj teraz to już jest za późno, ale spokojnie ja

wszystko wiem i Ci pomogę

Dzień matury, chłopak łapie za kopertę a sumienie mu podpowiada:

– nie, weź tę z lewej

Otwiera kopertę czyta i mówi:

– ożeż kurrr

A sumienie

– o ja cie pier@#\$\$@#!

„Wszystko jest w głowie”

Dokładnie tak było ze mną! To „ja cierpię dole” jeszcze długo po naszej przygodzie roznosiło się po lodowcu Miage.

Miałem pół roku czasu, a skończyło się tak, że wstałem z za biurka i ruszyłem na Mont Blanc.

Dziku się nabija ze mnie, że do tak „małych” projektów przygotowuję się dzień przed, a rano przed wyjazdem pakuję plecak i ruszam. Coś w tym jest, miałem kiedyś plan żeby przejechać rowerem z Oleśnicy do mojego rodzinnego Sanoka. Jednej soboty wstałem spakowałem co trzeba i pojechałem. 5 dni później byłem w Sanoku na śniadaniu u rodziców z cholernie bolącymi ścięgnami Achillesa bo okazało się, że siodełko o 3-5 cm za wysoko nie wyjdzie przy jeździe 30-40km dziennie, ale przy ponad 100 a i owszem.

Ekipa była skompletowana na długo przed wyjazdem, Aga, Dziku, Grzechu i ja. Oni doświadczeni i zgrani, nie wiem sam ile szczytów zdobyli razem ale na pewno więcej niż razy ja byłem na Smereku (1222 m. n.p.m.). przygotowani fizycznie lepiej niż olimpijczycy na zgrupowaniu w Spale, z zawartością tłuszczu w organizmie w okolicach 3% (po tym jak zjedli jogurt) patrzę na nich z odrazą i myślę sobie – do jakiego stanu człowiek potrafi się doprowadzić gdy regularnie ćwiczy! Ogólnie gęsi wyścigowe i ja. Nie mogę powiedzieć że byłem całkowicie nieprzygotowany fizycznie ale moja forma przed wejściem na szczyt była daleko odległa od tego jaka był ich po zejściu. Ale co tam, wziąłem sobie do serca coachingowy bełkot, że „wszystko jest w głowie” i pomyślałem „jadę! Przecież wszystko

mam w głowie”.

Gran Paradiso

Zajechaliśmy na parking jakoś popołudniu i tu już zobaczyłem, że ekipa nie bierze jeńców. W 20 minut byliśmy spakowani, objuczeni i grzejemy na pierwszy odcinek. Fajny delikatnie forsowny trekking do miejsca gdzie mieliśmy rozbić namiot i przekimać się kilka godzin. Bazę rozbiliśmy kawałek za schroniskiem Vittorio Emanuele II aby nie napędzać gospodarki zepsutego zachodu, kolacja, szybki sen do 1 w nocy i ogień na górę. Tak jak Dzikowi obiecywał trasa prosta i bezproblemowa, za to już wtedy zobaczyłem, że ten co to mówił o tej głowie to w dupie był. Uwielbiam od tego czasu naśmiewać się z tego tekstu bo co on właściwie znaczy? Że jeśli powiesz sobie że możesz podnieść 200 kg i w głowie to podniesiesz to to się magicznie stanie?! Wszystko jest w przygotowaniu, w treningu tam jest głowa potrzebna, później tylko można patrzeć na górę, która przed tobą i w duchu mówić „ożeż kurrrr” a sumienie podpowie „o ja cie pier#@\$\$@#”.

Szczyt zaliczony bez problemów z jednym przejściem ponad szczelina z użyciem drabiny która była na miejscu rozstawiona. Delikatna kolejka do wejścia po wspomnianej drabinie, ale bardziej taka jak do kasy po bilet na koncert U2 niż w biedronce po kurczaka za 2,99. Kilka fotek na szczycie z przyzwyczajeniem do wysokości i wracamy. Byłem przygotowany na większe problemy zdrowotne w związku z wysokością ale odbyło się zadziwiająco bezproblemowo, poza smutną konstatacją na temat formy jaką przywiozłem ze sobą.

Droga powrotna była ciekawa z dwu powodów, pierwszym był lodowiec, który w godzinach popołudniowych zaczął się trochę rozwadniać i co drugi krok był telemarkiem. Postanowiłem to wykorzystać w kilku etapach, zjeżdżając na dupie czym pewnie oburzałem zawodowców i pokazywałem środkowy palec górze. Drugi to moje nowiuśkie raki w których w lewym pękł plastikowy koszyk mocujący rak do buta (później dowiedziałem się, że to

była wypuszczona wadliwa partia) super! To bardzo dobra prognoza na kolejny etap. Doszliśmy do namiotów po godzinie 15 odpoczęliśmy i mimo iż pierwotnie plan był żeby przespąć się i rano jechać dalej coś mnie kusiło by uciekać z tej góry. Później podobne ciśnienie miałem na Blancu ale o tym trochę niżej. Spakowaliśmy się dość sprawnie i przed zmrokiem byliśmy na dole przy samochodzie. Przespaliśmy się w namiotach rozbitych na łące przy parkingu. Nie wiem co to za ciśnienie ale chciałem być jak najdalej od tej góry.

Mont Blanc czy Monte Bianco

Już w drodze z Polski dużo rozmawiamy o tym czego się spodziewamy, jak wygląda trasa, historie o miejscu z „rolling Stones” i o tym jak Dzik z Agą byli na Blancu kiedyś zimą i nie wiedzieli, że w schronie na 3800 prawdopodobnie dokładnie wtedy były tam zwłoki jakiegoś nieszczęśnika, którego odnaleziono po kolejnych kilku dniach. Takie i inne wesołe historie sprawiły, że wręcz nie mogłem się doczekać naszego wejścia. Dziku wspomina, że kiedyś z inną ekipą wchodzili od włoskiej strony i jak bardzo to wejście jest nieprzyjazne, słucham i myślę sobie, żeby tylko nic się nie wydarzyło, co będzie kazało nam wchodzić od włoskiej strony. Dojeżdżamy do Chamonix, w informacji dowiadujemy się, że droga na szczyt jest zamknięta bo luźne kamienie spadają i jest niebezpiecznie, szybka decyzja – **jedziemy do Włoch i wchodzimy od tamtej strony** (sumienie podpowiada mi znowu: „o ja cie...).

Część druga tutaj:

[„Otwarta pętla – Mont Blanc – część 2/2”](#)

tekst: M.Mazur

Piz Morteratsch (3751) i akcja „szerpa”



Na wierzchołku jedynie moje ślady



Hinterer Brochkogel (3635 m.)



Instrukcja jest? Jest.



„Remove cup before... BUM!”

Lipiec 2019

Po [krótkiej przygodzie z Morteratsch](#) wracam do namiotu, gdzie wita mnie Aga. Wyspała się i czuje się już dobrze, więc teraz kręcimy się wkoło i wypatrujemy przyjaciół, którzy poszli na Piz Berninę. Późnym popołudniem pakujemy dla nich picie i idziemy w kierunku grani. W miejscu, z którego widać skały prowadzące na Biancograt, oraz samą grań jest zupełnie cicho. Słońce grzeje, śnieg się topi i płynie po skałach. Czasem słychać spadające w okolicy kamienie, ale żadnej żywej duszy. Przypuszczamy, że coś poszło nie tak, tym bardziej, że już poprzedniego dnia komuś zapaliła się lampka, czy w tym przypadku to aby rozsądny pomysł wchodzić i schodzić z tej samej strony góry.

No tak bywa

Decydujemy się wracać do namiotu, ale po kilkuset metrach dostaję wiadomość. Kręcę z niedowierzaniem głową na wieść, że ta trójka nie wróci dziś do nas. I to nie koniec rewelacji, bo informują nas również, że po spędzeniu nocy w schronisku Marco Rosa planują oni jutro zejść na włoską stronę. Pozytywne jest to, że dając z siebie wszystko zdobyli szczyt. Ale ja już myślę tylko o jednym: co dalej? Przecież tu w Szwajcarii na wysokości jakichś 2800 metrów zostały ich rzeczy.

Z automatu przełączamy się na tryb: problem – rozwiązanie. Kto oglądał Marsjanina to wie, że to działa (przynajmniej na filmie). Zaczynam od tego, że wracam pod przełęcz po ich kijki, które tam zauważyłem zdeponowane, po czym biegnę, doganiam Agę i wspólnie wracamy do obozowiska. W lekkim rozgoryczeniu informuję poprzez sms drugą ekipę, że oczekuję ich przybycia tu jutro. Zakładam naiwnie, że rano zjedzą oni do Francji, wsiadą w busa albo na stopa przemieszczą się przez góry i przełęczę i dotrą do Pontresiny. Zupełna naiwność z mojej strony, ale nie widziałem też innego wyjścia patrząc na ilość bagażu, która tu została.

Wszystkie scenariusze, które przewinęły mi się przez głowę

były absurdalne i prowadziły do jednego wniosku: nikt tu do nas nie dotrze, a cały bagaż będziemy musieli znieść sami. Ja sobie tego nawet nie potrafiłem wyobrazić, lecz na całe szczęście był ze mną ktoś, kto się nigdy nie poddaje.

Piz Morteratsch po raz drugi

Mając w perspektywie zejście we dwoje do miasteczka ze sprzętem biwakowym pięciu osób dzień zaczynamy nietypowo. Jeszcze kiedy było zupełnie ciemno ruszamy na Piz Morteratsch (3751 m). Tak, to ten sam szczyt, [na którym byłem wczoraj](#), ale tym razem idziemy na niego razem. I znów: skały, lodowiec, ramię prowadzące do trawersu, śnieżny stok i... szczyt. Znów przy pięknej pogodzie jestem na wierzchołku, tym razem u mego boku żona zamiast ludzika z klocków Duplo. Aga dała sobie świetnie radę i wejście oraz zejście poszło nam bardzo sprawnie. To ma znaczenie, bo człowiek nie wraca tak do końca na tarczy i widzi, że stać go na coś więcej.

No dobrze, więc na wstępie dołożyliśmy sobie 1000 metrów przewyższenia w górę i w dół. Może słaba taktyka, ale i tak było warto.

Problem – Rozwiązanie

Po pierwsze – zminimalizować ilość znoszonych rzeczy. W głowie tworzą się bilanse: wyrzucony kawałek sera, pomijając moralną kwestię marnotrawstwa jedzenia, jest mniejszą stratą niż uszkodzony kręgosłup, więc kolejno pod kamieniami ładują: makaron, czekolada, ser, płatki, chleb. Przepakowujemy pozostawione graty: och! jakąż mam ochotę zostawić pod kamieniami te wszystkie niepotrzebne rzeczy, które zabrali nasi kochani towarzysze. Nie mogę przestać się irytować pakując do plecaka powerbanki, ręczniki i wielką tubę kremu do opalania, którą nawet za parawanem nad Bałtykiem ciężko byłoby ukryć. Kolejna rzecz: dysponujemy trzema plecakami, ale żadnego nie możemy przeciążyć. Jeśli któryś się rozpadnie, to będą depozyty. A powrót po depozyty może oznaczać przyjazd do domu dzień później niż planowaliśmy. Dzieci, praca, szkoła...

dzień ma znaczenie dla wszystkich. Plecaki pakuję z dużą uwagą i coraz większą frustracją, no bo co i gdzie umieścić, co i gdzie przypiąć, by wszystko zostało zabrane.

Tylko Aga w tym wszystkim zachowuje postawę w pełni pozytywną (jak zawsze czyni to w górach) – siedzi sobie i pije kawusię. I to tylko ona jest „winna” temu, że się podjąłem czegoś, co wg mnie było zupełnie bez sensu i z góry skazane na porażkę. No bo jak odmówić dziewczynie, kiedy mówi: „Dziczku ty to najlepiej spakujesz, i na dół zniesiesz, dasz radę na pewno, chcesz kawusi?”.

Zejście

No i spakowałem. I najpierw wziąłem jeden plecak i zszedłem ze skał po klamrach, linach i drabinkach. Potem wróciłem na górę i wziąłem kolejny plecak i znów tą samą drogą podążyłem na dół. Aga też łatwo nie miała, bo jej plecak miał przytroczonej znacznie więcej rzeczy, niż podczas wejścia. Pod skałami założyłem oba plecaki i krok po kroku posuwaliśmy się w kierunku wyjścia z tej niekomfortowej sytuacji. A wyjście było dość daleko, bo jakieś 12 km dalej i 1000 metrów niżej.

Schodziliśmy w różnych konfiguracjach: raz ja niosłem dwa plecaki, raz Aga, czasem nieśliśmy trzeci plecak razem między sobą, czasem nic nie nieśliśmy tylko leżeliśmy. Był nawet przeznaczony czas na sen i regenerację. Aga chrapała, a ja stresowałem się, bo zaczynały się zbierać chmury a na popołudnie zapowiadali przecież deszcz.

Drogi w dół opisywać ze szczegółami nie będę, bo opisać się tego nie da. Jak ktoś chce to poczuć, to niech założy 45 kg na plecy idzie przez kilka kilometrów po górach. Jest to coś, czego nie chcę kiedykolwiek doświadczać po raz kolejny. Chociaż jednego się dowiedziałem: drobną osobę prawdopodobnie byłbym w stanie znieść z gór na plecach.

Cud

Im bliżej celu, tym było gorzej. Fizycznie nic się nie działo, człowiek szedł w transie, bo nie miał wyjścia. Ale głowa pracowała, a to nie pomagało. Ciągłe nie byłem pewien czy dam radę, więc myślałem o alternatywnych rozwiązaniach. Wszystkie jednak były delikatnie mówiąc do dupy. Więc jedyne co pozostawało to posuwać się krok po kroczku przed siebie i liczyć na cud. I ten cud nastąpił, bo gdy minęliśmy znajdującą się po drugiej stronie doliny gospodę Roseg Gletscher, dogonił nas jeden z powozów konnych. Minął nas i szybko się oddalał, a ja miałem świadomość, że właśnie odjeżdża nasze wybawienie. Zacząłem biec z dwoma plecakami, ale już po kilkunastu metrach dałem sobie spokój. Zanim się jednak pogodziłem z losem zauważyłem, że powóz stoi za zakrętem a woźnica rozmawia przez telefon. Niesamowity fart spowodował, że konie musiały właśnie tu poczekać, aby minąć się z powozem jadącym z naprzeciwka. Pytamy o cenę i okazuje się, że dla nas to za drogo, ale co najważniejsze – bagaże pojedą na dół!

Powrót

W takiej sytuacji ostatnie kilka kilometrów schodzimy do miasteczka z uśmiechem. Na parkingu przy ulicy stoją oparte o siebie nasze plecaki. To nic, że w środku jest wiele wartościowych rzeczy, bo nikt tu cudzej własności nie ruszy. Pakujemy się, jemy i jedziemy na przełęcz o wysokości ponad 2300 metrów. To jest słowo klucz: jedziemy! Po drodze z parkingu podziwiamy masyw Piz Berniny z tymi wszystkimi imponującymi szczytami. Na jeden z nich, na taką ładną śnieżną kopułę prowadzą ślady. Ekscytujemy się, że są tak widoczne, że szczyt taki ładny, że... przecież to *nasz* szczyt! To Morteratsch! Dziś rano na nim byliśmy i szliśmy po tych właśnie śladach! Na parkingu zatrzymuje się mnóstwo samochodów, wszyscy robią zdjęcia, ale to my dziś po wschodzie słońca staliśmy tam – wysoko, i robiliśmy zdjęcia w ich stronę. Oj, jak dobrze jest czasem wstać wcześniej rano i zrobić coś ekstra.

Na przełęczy robimy sobie piknik. Gotujemy obiad ze słoika, pijemy bezalkoholowe piwko, jest słodko i beztrosko. A przed wieczorem, w ulewnym deszczu zjeżdżamy do... Afryki? Sprawdzam na nawigacji, czy na pewno jesteśmy we Włoszech, bo dookoła głównie czarni ludzie. Ja rozumiem, że Włochy miały ambicje, by skolonizować Afrykę, ale nie słyszałem o tym, by jakieś państwo afrykańskie kolonizowało Włochy. Murzyni, śmieci i ogólnie panujące we mnie uczucie niepokoju. To tylko druga strona góry, ale podejrzewam, że tu by nasze plecaki na chodniku za długo nie pozostały nietknięte.

Ale to wszystko przestaje być w jednym momencie istotne. Bo oto nastąpiła ta wyjątkowa chwila, kiedy spotykamy na dworcu Pawła, Magdę i Tomka. Nic piękniejszego niż uśmiechnięte twarze przyjaciół i powrót w komplecie do domu. To jest coś, co powinno być zawsze doceniane i celebrowane. Jak zresztą każdy dzień, w którym się budzimy i zasypiamy.

tekst: Dziku